

JAN TOMKOWSKI

## Czy potrzebujemy literatury powszechnej?

Chociaż w wielu encyklopediach, także PWN-owskich, znajdziemy wykaz najwybitniejszych utworów należących do „literatury powszechnej”, czyli napisanych przez autorów obcych, to definicji samego terminu możemy się tylko domyślać. Pojęcia „literatura powszechna” nie odnotowuje nawet wydany przez Ossolineum *Słownik terminów literackich* pod redakcją Janusza Sławińskiego (wyd. 2. Wrocław 1988). Znajdziemy tu hasła poświęcone między innymi „literaturze marynistycznej”, „literaturze pacyfistycznej”, „literaturze dla dzieci i młodzieży”, „literaturze produkcyjnej” i „literaturze obozowej”. Autorzy mówią wprawdzie o „literaturze porównawczej”, jej osiągnięciach i ograniczeniach, ale to przecież nie to samo. Literacka komparatystyka ma swój określony przedmiot badań, dawno wypracowane metody i wyraźnie zarysowane cele. O literaturze powszechnej myślano do niedawna głównie w kontekście edukacji humanistycznej.

Od niedawna na wielu uczelniach (nie podejmuję się oceny, jak często jest to praktykowane) kurs literatury powszechnej zastępowany jest wykładem jednej tylko wybranej literatury narodowej. Oczywiście, taka decyzja ma swoje niewątpliwe zalety. Wiadomo, że wykładowcom brakuje zwykle godzin na pogłębioną analizę omawianych zjawisk. Selekcja okazuje się zadaniem przekraczającym ich siły. Perspektywa omawiania dzieł literatury od Homera do Grassa w ciągu roku czy nawet dwóch lat działa paraliżująco. Może zatem istotnie lepiej zrezygnować z zuchwałego pomysłu i zaproponować studentom dokładniejsze poznanie jednej tylko literatury narodowej?

Za taką ewentualnością przemawia wiele okoliczności. Po pierwsze, łatwiej znaleźć utalentowanych i kompetentnych naukowców zajmujących się literaturą rosyjską czy francuską niż specjalistów od literatury powszechnej. Po drugie, istnieją stosowne i w miarę aktualne podręczniki, których do literatury powszechnej na ogół brak. Po trzecie, ułożenie spisu lektur obejmującego literatury wielu narodów wydaje się przedsięwzięciem niebywale trudnym. Jego realizacja w praktyce – czyli zmuszenie studentów do przeczytania co najmniej kilkudziesięciu (jeśli nie kilkuset!) pozycji – skłania do sceptycyzmu. Po czwarte wreszcie, żyjemy w epoce specjalizacji, gdy uczone zajmujący się zbyt szeroką problematyką wzbudza głęboką nieufność.

Rezygnując z obecności literatury powszechnej w procesie edukacji humanistycznej, sporo jednak ryzykujemy. Polonista, który wybrał literaturę starożytnej Grecji i Rzymu (zwykle najłatwiejszą do zaliczenia), nie musi – teoretycznie rzecz biorąc – przeczytać ani jednej powieści Dostojewskiego czy Flauberta. Może skończyć studia z oceną celującą bez znajomości Rilkego czy Eliota, a w odpowiedzi na pytanie o nazwisko laureata ubiegłorocznej literackiej Nagrody Nobla wzruszyć ramionami.

Warto zauważyć, że postawa taka, choć wcale nierzadka, prowadzi nieuchronnie do poznawczego minimalizmu, który w nauce zawsze niepokoi. Wielcy humaniści XX wieku, tacy jak Huizinga, Auerbach czy Curtius, nie stworzyliby nigdy tak imponujących dzieł, gdyby – dążąc do wąskiej specjalizacji – ograniczyli swoją refleksję tylko do jednej literatury narodowej.

Optymiści zakładają, że brakujące, pominięte podczas wykładów i konwersatoriów lektury student uzupełni we własnym zakresie. Zdarza się również, że podczas ćwiczeń poświęconych poszczególnym epokom literatury polskiej prowadzący zajęcia filolog przekazuje swym słuchaczom nieco wiadomości o utworach pisarzy obcych. Najwięksi entuzjaści twierdzą, że rokujący nadzieje humanista najważniejsze arcydzieła przeczytać powinien w szkole. Jest to oczywiście nonsens, bo uczniowie klas licealnych nie są przygotowani ani do lektury Prousta, ani Dantego. Nikt nie oczekuje od nich znajomości *Ulissesa* czy *Czarodziejskiej góry*. I nikt nie przygotowuje szkolnych pedagogów do komentowania i objaśniania tak ambitnych lektur.

Odrzucając obowiązkowe studiowanie literatury powszechnej zakładamy niejednokrotnie problematyczność istnienia obowiązującego dawniej kanonu. W tym niebezpiecznym procederze celują media, tłumaczące na przykład swoim odbiorcom, że czytanie *Anny Kareniny* na początku XXI wieku wydaje się anachronizmem, a studia nad Homerem zastąpić można poznawaniem Tolkiena – zwłaszcza na podstawie adaptacji filmowej albo gry komputerowej. Media w każdej chwili przekonują nas, że świat, który cieszy się dobrodziejstwami w rodzaju wolnego rynku, demokratycznego systemu czy swobodnego przepływu informacji, traktowany być powinien jako najlepszy z możliwych światów. A jeśli nie najlepszy – to w każdym razie najciekawszy i dostarczający najwięcej emocji. Po cóż więc grzebać się w przeszłości i jej problemach? Czego nauczyć nas jeszcze mogą pisarze elżbietańskiej Anglii, dramaturdzy Francji Ludwika XIV, nie mówiąc o starych poetach chińskich czy arabskich?

Presja mediów i reklamy okazuje się tak silna, że na wielu uczelniach łatwiej znaleźć w programach studiów humanistycznych autorów modnych, sezonowych nowości wydawniczych niż szacownych klasyków. Studenci często chcieliby rozmawiać o książkach zajmujących czołowe miejsca na listach bestsellerów. Konieczność poznania dzieł Goethego, Pascala czy Tołstoja wydaje im się mocno problematyczna, a pożytek płynący z analizy trudnych lektur – bynajmniej nie oczywisty. Bez porównania chętniej biorą do

ręki prozę najnowszą – zwłaszcza jeśli napisana została prostym językiem, różniącym się niewiele od języka gazet codziennych czy języka reklamy. Nie martwi ich obniżenie rangi procesu edukacyjnego. Postmodernistyczni teoretycy kultury przekonują zresztą o względności obowiązujących dotychczas kryteriów oceny dzieła sztuki i faktycznym rozpadzie istniejącego dotąd kanonu, którego miejsce zajmuje ranking albo lista best-sellerów.

Do obrony słabnącej pozycji literatury powszechnej nie przyczyniają się również panujące w edukacji szkolnej i akademickiej tendencje nakazujące ograniczanie nauki pamięciowej. Jakkolwiek próbowalibyśmy spojrzeć na tę kwestię, trudno ukryć, że literatura powszechna to w dużej mierze nazwiska, tytuły, daty, miejsca związane z życiem pisarzy, terminy oznaczające gatunki i kierunki literackie. Jednym słowem – mnóstwo wiedzy, którą trzeba opanować, by w ogóle poruszać się po bibliotecznym kosmosie.

Pośród argumentów najpoważniejszych przytaczany jest jeszcze jeden. Ponieważ nawet najwięksi poligłoci znają tylko niewielką liczbę języków, skazani jesteśmy na lekturę przekładów. Wiadomo zaś, jak bardzo przekład różni się od oryginału. Co gorsza, tłumaczone są zwykle jedynie książki najgłośniejsze, często rokujące nadzieje na rynkowy sukces. Utwory należące do mniej popularnych literatur narodowych czekają na pasjonatów. W gruncie rzeczy więc – uwzględniając rozmiary obecnej produkcji pisarskiej – pełny obraz literatury światowej jest nam niedostępny. Przykłady można mnożyć. Tak naprawdę bardzo niewiele wiemy o literaturze Czarnej Afryki z wyjątkiem twórców posługujących się językiem angielskim lub francuskim. W dzisiejszych Indiach powstaje wielojęzyczna i ciągle słabo znana literatura, trudna do ogarnięcia nawet dla wytrawnych znawców przedmiotu. A któż ośmieliłby się stwierdzić, że wie wszystko o współczesnej literaturze chińskiej? Takiej pewności nie mieli chyba nawet jurorzy literackiej Nagrody Nobla, przyznający to wyróżnienie chińskiemu dysydentowi w 2000 roku.

Można wymienić jeszcze jeden powód: rosnącą z każdym rokiem liczbę utworów wybitnych, trudnych do pominięcia. Przybywa ważnych książek i doskonałych pisarzy, ale także poszerza się obszar naszych zainteresowań. Jeszcze w okresie międzywojennym, by uchodzić za erudyte, wystarczyło śledzić nowości ukazujące się w Paryżu. Dziś wiadomo już, że arcydzieło pojawić się może w najodleglejszym zakątku globu.

Wszystko to prawda, skłaniająca do zastanowienia i rozwagi. Jednak po odrzuceniu argumentów świadczących o pragnieniu wyeliminowania wszystkiego, co utrudnić mogłoby życie wykładowcy albo studenta, pozostają głównie racje wynikające z terminologicznych nieporozumień.

W moim przekonaniu, za pojęciem „literatura powszechna” nie kryje się, a raczej: nie musi się kryć abstrakcyjna suma wiedzy o literaturach wszystkich narodów świata. Encyklopedyczny zamysł nie jest tu ani potrzebny, ani specjalnie wskazany. Hipote-

tyczne „dzieje literatury powszechnej” różnić się powinny wyraźnie od słownika pisarzy świata, leksykonu ważniejszych utworów czy kolekcji gromadzącej omówienia poszczególnych literatur narodowych.

Dzieje literatury powszechnej – zwłaszcza pisane przez jednego autora – muszą być z konieczności książką subiektywną. Ograniczenia wynikają nie tylko z określonych kompetencji piszącego, liczby lektur i hierarchii ocen. Są one również spowodowane faktem, że nie możemy nigdy wyzwolić się spod władzy czasu i przestrzeni. Stąd szybka i nieuchronna dezaktualizacja istniejących już, nielicznych zresztą, tego typu opracowań. Ioczywisty wniosek, że wysiłek opracowania syntetycznego obrazu literatury powszechnej trzeba co pewien czas podejmować, rejestrując dokonujące się nieustannie zmiany i przewartościowania, czyniące jednych pisarzy klasykami świeżej daty, a innych odsuwające w niepamięć.

Żyjemy w epoce, która pewnych cenionych niegdyś arcydzieł prawie już nie rozumie, a ich lekturę pozostawia cierpliwym badaczom, specjalistom studiującym dzieje konkretnego gatunku literackiego czy okresu. Inne utwory, niewątpliwie przeceniane, cieszą się za to tak wielkim szacunkiem, że trudno je przeoczyć, nie narażając się na gniew i odrzucenie ze strony rozentuzjasmowanych czytelników. W ciągu minionej dekady kanon literatury światowej ulegał gruntownym przeobrażeniom – cóż dopiero, gdy mówimy o półwieczu lub całym stuleciu?

W stopniu zapewne nie mniejszym możliwości obiektywizacji ogranicza również przestrzeń.

Byłoby naiwnością sądzić, że dzieje literatury powszechnej napisane przez Anglika, Francuza czy Niemca – nie mówiąc już o Chińczyku albo Japończyku – wyglądać będą mniej więcej tak samo. Nawet dzieła zgodnie uznane za klasyczne, czytane są w poszczególnych krajach w różny sposób i rozmaicie oceniane. Olbrzymi wpływ wywierają tłumaczenia – ich niska jakość albo zupełny brak stać się mogą powodem kompletnej nieobecności pisarza w danym kraju czy nawet kręgu cywilizacyjnym. Istnieją ponadto autorzy, których twórczość uważana jest dość zgodnie za nieprzekładalną.

Różnorodność spojrzenia nie powinna nas przerażać, skoro żyjemy dziś w przekonaniu o konieczności nieustannego dialogu kultur, narodów i języków. Rozmaitość odpowiedzi na pytania stawiane w danej epoce, odmienność interpretacji, próby godzenia tego, co narodowe, z tym, co uniwersalne, europejskie – wszystkie te zagadnienia stanowić mogą jakże wdzięczny przedmiot badań historyka literatury powszechnej. Wyobrażam sobie, że w odróżnieniu od komparatysty będzie on skłonny raczej do poszukiwania przejawów kulturowej polifonii niż ustalania podobieństw i wykazywania analogii.

Spojrzenie na literaturę z polskiej perspektywy wydaje się nieuniknione, ale też szczególnie dogodne. Nie jesteśmy aż tak wielkim mocarstwem, by lekceważyć dokonania bliższych i dalszych sąsiadów. Nie jesteśmy również – i na szczęście taki los

nawet w okresie rozbiorów chyba nam nie groził – mało znaczącą prowincją, usytuowaną na peryferiach Europy, nieciekawą szerokiego świata i przez świat zapomnianą. Praktycznie rzecz biorąc, nigdy – poczynając od epoki staropolskiej – nie wierzyliśmy w samowystarczalność naszego piśmiennictwa. Zawsze znajdowali się znakomici tłumacze gotowi podjąć wysiłek przyswojenia polszczyźnie skarbów literatury światowej. Biblia Jakuba Wujka, poematy Tassa i Ariosta w tłumaczeniu Piotra Kochanowskiego, *Cyd* Corneille'a w przekładzie Jana Andrzeja Morsztyna to przykłady wspaniałych osiągnięć dawnej sztuki translatorskiej. Także później zajmowali się nią i najwięksi, o czym świadczy wciąż niedościgniony przekład *Giaura* Byrona autorstwa Adama Mickiewicza. Do dziś zachwyca nas *Pijany statek* Rimbauda w wersji Miriama. Literaturę francuską czytamy ciągle jeszcze według klucza, jaki przygotował dla nas najpracowitszy z tłumaczy, Tadeusz Boy Țeleński. Dla literatury angielskiej podobne znaczenie ma dzieło zmarłego przed kilku laty Macieja Słomczyńskiego.

Z uwagi na liczbę książek już napisanych i dostępnych w bibliotekach na całym świecie, czytanie zawsze wiąże się z wyborem. Dokonują go zarówno autorzy przekładów, jak i najwybitniejsi twórcy, których opinie wywierają przemożny wpływ na kształt recepcji. Podczas gdy w epoce romantyzmu Anglicy zachwycali się poetami takimi, jak Shelley, Wordsworth czy Coleridge, w Polsce nikt nie mógł rywalizować z Byronem, znacznie surowiej osądzanym przez Brytyjczyków.

Sytuację taką stworzyli nasi najwięksi poeci, Mickiewicz i Słowacki. To dzięki nim bajroniczny bohater i bajroniczne gatunki literackie zachowywały jeszcze żywotność nawet w okresie po powstaniu styczniowym, egzorcyzmowane dopiero przez młodych bojowych pozytywistów. W innych krajach bywało zresztą podobnie – trudno powiedzieć, czy bez wysiłków Baudelaire'a dzieło Poe'go zdołałoby podbić czytającą Europę. Z całą pewnością bez zachęty Eliasa Canettiego *Tajną historię Mongołów* znalazłoby tylko najwięksi erudyci naszych czasów. Prozaicy i poeci budzą często zainteresowanie, prowokują pewne mody, narzucają lektury, wyznaczają kierunek intelektualnych poszukiwań.

Wspólne starania pisarzy, tłumaczy i badaczy literatury nie zawsze kończyły się powodzeniem. Brak tłumaczeń przyczynił się do względnej niepopularności Blake'a, z pewnym opóźnieniem odkrywaliśmy Joyce'a, Musilę, Doderera. Jedne straty możemy jeszcze po latach nadrobić, inne – z uwagi na upływ czasu – martwią już tylko historyków literatury.

Ogólnie rzecz biorąc, zawsze odczuwaliśmy silne związki łączące nas z literacką Europą. Podstawę edukacji stanowiła u nas literatura łacińska, a później włoska i francuska. Trwająca przez kilka wieków dominacja Paryża, z którego Polacy przywozili nie tylko akcent, wzory ubrań, ale i książki, dobiegła końca dopiero w połowie ubiegłego stulecia. Wtedy na plan pierwszy wysunęły się utwory napisane w języku angielskim.

Krótkotrwałe mody umożliwiły nam przelotny co prawda, ale trudny do przeoczenia kontakt z literaturami skandynawskimi czy prozą iberoamerykańską. Systematycznie sięgamy po literaturę najbliższych sąsiadów, rosyjską i niemiecką. Europocentryczne widzenie piśmiennictwa światowego, dowodzące świadomości miejsca zajmowanego w kulturze Zachodu, nie przekreśla wcale pragnienia poznania innych, egzotycznych literatur: chińskiej, japońskiej, arabskiej, a nawet malajskiej. Także i w tym zakresie polscy tłumacze odnotowali osiągnięcia, których nie sposób przeoczyć.

Tak rozumiana literatura powszechna nie jest więc chaotycznym zbiorem mieszczącym wszystkie napisane dotąd książki. Jej tworzony przez stulecia obraz stanowi element dziedzictwa narodowego być może równie ważny jak twórczość oryginalna. Mówi o potrzebach i dążeniach czytającego społeczeństwa, o dokonywanych nieustannie wyborach i relacjach łączących kulturę polską z kulturą europejską, a w szerszej perspektywie – także z kulturą światową. Imponująca liczba przekładów niektórych arcydzieł i prawie zupełna obojętność w stosunku do innych, często nie mniej wybitnych utworów, określa w mniej czy bardziej czytelny sposób naszą tożsamość, charakter myślenia, smak estetyczny. W pewnym stopniu, układając dzieje literatury powszechnej, opisujemy siebie samych.

Historię literatury powszechnej można pisać w różny sposób, na przykład skupiając się na losach gatunków, prądów, programów artystycznych, grup literackich. Można dążyć do nakreślenia obrazu epoki lub koncentrować się na znaczeniach tekstu, badać ewolucję języka i stylu albo rekonstruować wyłaniający się z dzieła świat idei. Rozmaite są przecież oczekiwania polonisty czy germanisty, a tym bardziej filozofa, historyka czy kandydata na dziennikarza, choć każdy z nich powinien posługiwać się w miarę swobodnie kodem kulturowym ukształtowanym przez arcydzieła. Zaryzykowałbym zresztą tezę, iż syntetyczne ujęcie literatury powszechnej potrzebne jest nie tylko humanistom. Znajomość podstawowych tekstów, stanowiących fundament kultury światowej, niezbędna jest każdemu wykształconemu człowiekowi.

Naturalne na początku XXI wieku dążenie do specjalizacji i redukcji zbyt rozległych obszarów wiedzy nie może przekreślać wielkiej szansy, jaką daje lektura Cervantesa, Szekspira, Dostojewskiego. Obcowanie z arcydziełem – w żadnym razie pospieszne czy powierzchowne, nastawione jedynie na poznanie i zapamiętanie fabuły – okazać się może dla każdego czytelnika niepowtarzalnym doświadczeniem egzystencjalnym. Nie musi ono rzecz jasna przebiegać w żadnych sformalizowanych ramach – tym bardziej że edukacja humanistyczna nie kończy się przecież z chwilą uzyskania świadectwa dojrzałości czy opuszczenia murów uczelni z dyplomem w kieszeni. Dla jej kontynuacji potrzebne są odpowiednie publikacje – zarówno naukowe, jak i popularyzatorskie (tę ostatnią nazwę, jako wciąż deprecjonującą i coraz bardziej anachroniczną, warto by może odrzucić), adresowane do niewtajemniczonych. Akademicki podręcznik historii

literatury rosyjskiej czy perskiej nie zainteresuje być może ani socjologa, ani – tym bardziej – inżyniera czy lekarza. Jednakże humanistyczne tęsknoty, wcale nierzadkie wśród przedstawicieli zawodów technicznych, zaspokoić mogą ujęcia syntetyczne, nieodstręczające nadmiarem specjalistycznej terminologii, atrakcyjne w lekturze, przemyślane, inspirujące.

W moim przekonaniu tak pojmowane dzieje literatury powszechnej stanowiłyby nade wszystko historię ludzi i książek, bo ostatecznie tylko pisarze i ich dzieła zachowują nawet po upływie stuleci realność. Cała reszta zaś stanowi przedmiot twórczych dyskusji i zmieniających się z upływem lat ocen. Nawet jeśli wiedza taka nie ma żadnego zastosowania praktycznego w dającej się przewidzieć najbliższej przeszłości, to mimo wszystko nie warto z niej rezygnować.

#### **Do we need the universal literature?**

This essay concerns problem of the history of universal literature. Is it possible to practise this subject – the literature of all the world? What could we say about its methods and research practice? Is it important and interesting to the institutions of higher education, especially the humanities faculties, or not?

**Key words:** history of literature, literary culture, modern education